

## Mózg kałamarnicy Humboldta

Z Justyną Bargielską rozmawia Beata Mytych-Forajter

1 Wykład Justyny Bargielskiej został wygłoszony 28 maja 2014 na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

BEATA MYTYCH-FORAJTER: Ponieważ dzisiaj mówiłaś (też) o zwierzętach<sup>1</sup>: był łabędź, był drób, skrzydła gołębiczy, a nawet pierwotna plazma – przygotowałam zestawienie, z którego wynika, że w Twoim pisaniu jest mnóstwo „pierzwiastka zwierzęcego”. Pobieźna statystyka pozwala stwierdzić, że „zwierzęce” to jeden z Twoich najważniejszych tematów. Zobacz. To są Twoje zwierzęta. Zobacz, jak ich dużo. Zobacz, ile masz zwierząt.

JUSTYNA BARGIELSKA: To są zwierzęta?

B.M.F.: Tak, przemieszane z roślinami, ale głównie zwierzęta.

J.B.: O, matkooooo (*śmiech*).

B.M.F.: Raczej się nie wymówisz, że ich nie ma. Obejrzałam też Twoje książki: na okładce *Bach for my baby* pies sika na samochód, na okładce zbioru *Szybko przez wszystko* stoi suka, w ilustrowanym tomie *China shipping* jest zdjęcie małp, kota, gołębia, mew, kury, egzotycznej ryby i tygrysa. Na jednym z obrazków rysunkowa Ty rzucasz psu bumerang, by dostać nim (nie psem) w głowę. A co najlepsze, cały tom dedykowany jest „żółwiowi wypindranemu”? Skąd Ci się to bierze?

J.B.: Zacznę od tego, że się przeraziłam tą listą, którą mi tu położono...

B.M.F.: Nie policzyłam, ile masz tych zwierząt. Najciekawsze jest jednak to, że idziesz w stronę coraz bardziej egzotycznych gatunków. W *Małych lisach* moją faworytką jest kałamarnica Humboldta i skrzydlice jaskiniowe, czyli ryby-motyle. To wymaga wiedzy, i to specjalistycznej. Kto w ogóle wie, że jest taki stwór jak kałamarnica Humboldta?!

J.B.: Wiesz, trzeba się kałamarnicą Humboldta fascynować, odkąd się pierwszy raz usłyszało nazwę kałamarnica Humboldta, i teraz wydaje mi się, jak patrzę na to, na tę listę Twoją, że musiałam się kałamarnicą, w ogóle zwierzętami, rzeczywiście fascynować, przenosić je do tego, co piszę, już od raczej dawna. Od samego początku tak naprawdę. Wiesz, można to wytłumaczyć prosto: jak miałam czas, to oglądałam filmy, których narratorką jest Krystyna Czubówna, znana nam wszystkim. Nikt inny poza Krystyną Czubówną nie powinien tego czytać, ale kiedy ona to czyta, to nabiera to wielu dodatkowych wymiarów. A z drugiej strony, no

nie wiem, gdyby się tak przyjrzeć proporcjom pomiędzy tym, ile tego jest w tym, co piszę, a ile tego jest w tym, co przeżywam normalnie na co dzień, ile zwierząt mnie spotyka normalnie: zaledwie tutaj w ciągu ostatnich dwóch godzin spotkały mnie przynajmniej dwa zwierzęta w taki sposób, że jakoś wpłynęło to na moje życie: zamówiłam żeberka i to jest już jedno zwierzę... Nie, właściwie spotkałam trzy zwierzęta, ponieważ Olek [Nawarecki] zrobił awanturę, że powinnam zjeść jagnięcinę, bo to jedyna rzecz, która pasuje i do tematu mojego wykładu, i do tego, że tu jestem, i też cenowo pasuje, no więc – że mam zjeść jagnięcinę. Ja powiedziałam, że jagnięciny nie zjem, zjem żeberka, po czym przyniesiono mi kurczaka, no i tego kurczaka odniesiono, przyniesiono żeberka. Czyli to są trzy zwierzęta, a jedno w dodatku w dwóch wcieleniach: to znaczy jako pożądane zwierzę i potem to, które się jednak dostało na koniec. Gdybym była lobbystą i trzeba by było mnie przekonać do czegoś, przekupić, dokonać korupcji na mnie – bardzo dobrym prezentem byłby roczny bilet do zoo, ponieważ ja kupuję roczne bilety do zoo dość obsesyjnie. To znaczy, jak już widzę, że się kończy roczny bilet do zoo, to kupuję następny, i to nie jest tak, że kupuję tylko w Warszawie, bo jak się zorientuję, że w jakimś mieście, gdzie w miarę często bywam, też są roczne bilety do zoo i nie są strasznie drogie, to też staram się je kupować.

B.M.F.: Chodzisz do zoo zawsze czy odkąd masz dzieci? Bo mnie do zoo ciągnie dziecko i z czynionych obserwacji wynika, że tak bywa na ogół.

J.B.: Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z moimi dziećmi. I nawet bym powiedziała, że to ja ciągnę dzieci do zoo z racji tego, że ja mam roczny bilet, a czasem też im kupuję, więc to wychodzi po prostu taniej, ale – to ja dzieci ciągnę do zoo. Już teraz łatwiej mi je przekonać, żeby posiedziały ze mną w takim bardzo ważnym dla mnie miejscu. W Warszawie mamy stosunkowo nowy budynek, w którym jest tylko rekin. Rekin ma tam swoje akwarium, takie duże, całe przeszklone. To jest całkowicie zaciemniony budynek i tam są ławki, można przed tym rekinem siedzieć i patrzeć na niego po prostu godzinami. Odkryliśmy, że tam, gdzie ten rekin pływa, towarzyszy mu muzyka z Basińskiego, z tych czwartych *Loops*. Nie da się tego sprawdzić, rekin jest chwilowo zamknięty, ale to jest takie miejsce, że sama dużo czasu tam spędzam i próbuję właśnie przekonać dzieci, żeby chodziły ze mną. Natomiast są zwierzęta, do których nie jestem w stanie zaciągnąć dzieci, na przykład wilk grzywiasty. Wilk grzywiasty śmierdzi.

B.M.F.: To wiem.

J.B.: Niewiarygodnie śmierdzi.

B.M.F.: Mięsożercy znaczący teren śmierdzą.

J.B.: Ale ja uwielbiam ten zapach.

B.M.F.: Hieny, duże koty...

J.B.: Hieny może mniej (*śmiech*). Hiena mi mniej szlachetnie pachnie. Ten zapach wilka grzywiastego jest tak przenikliwy, że jak się czeka na ten zapach, bo ja na przykład już czekam u nas w warszawskim zoo od momentu, kiedy minę ibisa. Jak już minę ibisa, to mam poczucie, że za chwilę mogę poczuć tego wilka grzywiastego, i ja czekam na to. To jest taki zapach, że szczerze mówiąc, w moim pojęciu tylko niektóre najlepsze dzieła sztuki perfumiarskiej mogą się z nim równać. Nie w sensie użytkowym, chodzi mi o przenikliwość kompozycji. Ja wiem, że ja teraz mówię o wydzielinach z gruczołów wilka grzywiastego, ale tak.

B.M.F.: Ale w perfumach przecież jest ambra, piżmo z gruczołów położonych blisko odbytu.

J.B.: Ale tak naprawdę to są jedyne gruczoły, których wydzieliny zawierają się w perfumach. Bo poza tym to jednak staramy się; to jest taka straszna kultura, że my idziemy w stronę karmelu. Nie Karmelu w sensie religijnym, co byłoby w jakiś sposób zbawcze, my idziemy w stronę karmelu we wszystkich produktach, jakie możemy sobie wyobrazić. Karmel, toffi, takie coś. W perfumach po prostu, zresztą pisałam o tym chyba w *Małych lisach*, karmel jest bardzo łatwo osiągnąć w sposób sztuczny. Nie trzeba robić prawdziwego karmelu, który też ma w sobie jakąś szlachetność, kiedy pachnie. Natomiast taki karmel jest bardzo łatwy do osiągnięcia w sposób sztuczny, bardzo dobrze się przechowuje, bardzo łatwo go dodać do absolutnie wszystkiego, w związku z tym naprawdę większość perfum, które obecnie są „wydawane” (przepraszam, że mówię o perfumach, jak o książkach, ale tak jest), musi zawierać w sobie jakiś tam wątek karmelu, nawet gdyby to była książka, czyli perfumy, o bzie. To jest dla mnie *horrendum*, że musimy sobie tak proste i oczywiste zapachy jak bez czy konwalia uszlachetniać karmelem, bo nie jesteśmy w stanie ich przełknąć bez karmelu.

B.M.F.: Ten zapach wilka grzywiastego jest naprawdę wciągający. W śląskim zoo jego wybieg jest zaraz obok bocznego wejścia – i to się czuje.

J.B.: Trudno go nie czuć.

B.M.F.: Niesłychanie charakterystyczny.

J.B.: On ma jeszcze fajnie, że to nie jest zależne od pory roku na przykład. To jest jego stała cecha. Ja bardzo to lubię.

B.M.F.: Duże drapieżniki znaczą teren, mają dość wyraziste sygnały zapachowe. Zastanawia mnie coś, czego chyba się nie da rozdzielić. Wracając do kałamarnicy Humboldta – w *Małych lisach* się śmiejesz z samej nazwy, z faktu, że nazwano ją tak, ponieważ pływa w prądzie zatokowym Humboldta. Czy bardziej frapująca

jest sama kałamarnica, czy doklejona do niej nazwa? Mówisz, że jesteś miłośniczką polszczyzny, a przecież nazwy zwierząt muszą być kuszące dla poetki i pisarki. Chodzi mi o zabawę onomastyką.

J.B.: Jeżeli chodzi o metki czy też etykiety czy utarte pojęcia, które stoją za zwierzętami, to w przypadku kałamarnicy Humboldta akurat najciekawsze jest coś, co jest absolutnie fizyczne. Ona jest wielka, w związku z tym ma wielki mózg.

B.M.F.: Jest bardzo inteligentna.

J.B.: Nie wiemy, czy jest tak naprawdę, natomiast jest jeden z mitów, choć fizjologicznie to prawda, którym pociesza się ludzkość współcześnie, że wykorzystujemy jedną milionową możliwości naszego mózgu. Dla mnie to, że wykorzystujemy jedną milionową możliwości naszego mózgu i mówimy o tym, to jest wyraz naszych kompleksów i próba ich leczenia, ale z drugiej strony daje to wniosek dotyczący jakoś tak kałamarnicy Humboldta. Jeżeli tam jest tyyye tego mózgu, to jak wiele kałamarnica Humboldta tego mózgu nie wykorzystuje. I to jest zwierzę, które można uznać za ikonę tego niewykorzystywania całych możliwości mózgu. I teraz pytanie: co moglibyśmy robić tymi pozostałymi dziewięcioma milionami dziesięciomilionowych części mózgu, których (dobrze policzyłam? dobrze) nie używamy? To jest coś, co nas przerasta. Tak naprawdę nawet nie wiemy, jakie problemy moglibyśmy rozwiązywać, my bądź kałamarnice, gdybyśmy tych części mózgu używali. No i oczywiście pojawia się też taki wniosek, że może wcale nie są to części mózgu, których używać należy. Z drugiej strony my, ludzie, możemy sobie postanowić: nie używamy tych części mózgu, kałamarnica sobie tego nie postanowi. Przyjdzie dzień, że zacznie używać tych części mózgu. I wtedy co?

B.M.F.: Czytam na przykład, że wskutek efektu cieplarnianego kałamarnice mnożą się intensywniej i napadają na sieci rybaków. Nie wiem, czy to dlatego, że zaczęły wykorzystywać tę większą część mózgu (?). Fascynujące jest to, że komunikują się, zmieniając kolory.

J.B.: Też.

B.M.F.: To rewelacja.

J.B.: Nie wiem, czy widziałaś: z rok temu był film o tym, jak pierwszy raz sfilmowano kałamarnice Humboldta w ich naturalnym środowisku, czyli bardzo, bardzo głęboko, w całkowitych ciemnościach. Film trwał może minutę, zrobili go japońscy naukowcy, był najpierw w telewizji, potem wrzucili go na YouTube'a. I ten film pokazuje, że kałamarnica w swoim naturalnym środowisku, proszę pamiętać, że to jest sensacja gigantyczna, ona sobie wisi (*śmiech*). Wisi, po prostu sobie wisi. Jest wielka, gigantyczna, wisi

sobie w tych ciemnościach, w tej wodzie. Też jakoś mi to zaimponowało. Może ona już wie, do czego należy tych pozostałych części mózgu używać.

B.M.F.: Po drodze pojawiły się dzieci. A ponieważ interesuje mnie ten wątek: dzieci i dziecięcych fraz jest wiele u Ciebie...

J.B.: Nawet nie trzeba było tego wypisywać.

B.M.F.: Chomiki, pieski, dzieci. Gdzieś się to spotyka. Gadające zwierzęta w bajkach. Jean Piaget sformułował tezę o animistycznej fazie w życiu każdego człowieka. Do pewnego momentu rozumiemy mowę zwierząt i pewnie dzieje się to, zanim wejdziemy na sto procent w ludzką mowę, w wieku lat trzech może. Wcześniej w różny sposób się komunikujemy, jesteśmy w fazie przedjęzykowej i wtedy rozumiemy zwierzęta lepiej albo nam się wydaje, że je rozumiemy. Może zwierzęta są u Ciebie dlatego, że są tam dzieci ze swoim językiem? Czy jest zupełnie inaczej? Bo powiedziałeś, że do zoo to Ty zabierasz dzieci.

J.B.: Do zoo mnie nie ciągną, chyba że jest realna szansa, że kupię balony wypełnione helem. Im większe, tym lepsze. Jest taka teoria o kotach – badano inteligencję kotów i w wyniku skomplikowanych badań doszli naukowcy – już nie pamiętam, jakiej narodowości, choć na ogół to jest bardzo, bardzo ważne dla badań – do wniosku, że kot dorosły ma inteligencję dwuletniego dziecka. I teraz tak: oczywiście to rozumienie mowy może się odbywać tak naprawdę na różnych poziomach. Możemy mówić o rozumieniu mowy, kiedy uczymy się języka czyjegoś i posługujemy się tym językiem, ale z drugiej strony dlaczego nie mielibyśmy nadal, jeżeli rozumiemy mowę dwuletnich dzieci, a przecież rozumiemy ją, dlaczego nie mielibyśmy rozumieć mowy kotów.

B.M.F.: Rozumiemy system znaków.

J.B.: Rozumiemy system znaków i *de facto* rozumiemy mowę. To rozumienie mowy zwierząt niesie z sobą taki, niestety, bajkowy sznyt. Dużo lepiej powiedzieć: ja rozumiem system znaków mojego psa czy rozumiem system znaków mojego kota, ale tak naprawdę efekt jest mniej więcej podobny. Może jest mniej poetycki i kontrowersyjny, ale to jest dokładnie taki efekt.

B.M.F.: Językoznawcy policzyli, że język zaczyna się po przekroczeniu czterystu znaków. Wcześniej jest rodzaj protojęzyka, a kiedy przekraczamy tę magiczną liczbę czterystu znaków, co dzieci robią około połowy trzeciego roku życia, zaczyna się ich kombinowanie. Z badań wynika, że nawet mały człekokształtne nie przekraczają tej granicy. Zwierzęta jakby zatrzymują się na poziomie dwulotka. Zostają poniżej poziomu języka.

J.B.: Ale nadal jest to poziom, który wydaje się, że pozwoliłby kotu pisać wiersze, gdyby mógł pisać. Nadal jest to poziom w pewnym sensie niesłychanie wysrubowany, bo przecież bardzo łatwo

- jest udowodnić, że wiersze, akurat wiersze, pisze się za pomocą tych czterystu słów. A tak naprawdę, im bardziej jest to czerpanie z tych czterystu słów, tym te wiersze są lepsze, po prostu.
- B.M.F.: W gruncie rzeczy mówimy o poetyckiej ekonomii.
- J.B.: Ekonomia działa, musi się rozszaleć w zupełnie innym aspekcie. Musi starać się wykorzystać wszystkie możliwe łączenia w perspektywie wiersza, książki. Te słowa muszą się odnosić też do tych słów, których nauczą się ci, którzy postanowią się nauczyć więcej niż czterystu słów.
- B.M.F.: Jaką poezję pisałby kot, gdyby pisał poezję?
- J.B.: Pisałby poezję doskonałą: absolutnie komunikatywną, a jednocześnie mroczną, tajemniczą, groźną, jednocześnie absolutnie komunikatywną, a jednocześnie mroczną.
- B.M.F.: Zastanawiam się też, na ile my – ludzie – niesłychanie komplikujemy sprawę. W komunikacji między zwierzętami funkcjonują proste znaki: kiedy pies odsłania brzuch, to się poddaje...
- J.B.: Mój pies (*śmiech*)! Miałam przez dwa lata psa, mój pies pokazywał brzuch tylko po to, żeby...
- B.M.F.: Go drapać?
- J.B.: Nie, absolutnie, żeby na mnie skoczyć i mnie ugryźć w kark. Zorientowałam się, że w kontakcie ze zwierzętami coś mi się dzieje z mózgiem: nie jestem w stanie zająć pozycji zarządcy.
- B.M.F.: A właśnie w relacji z psem podobno jest to konieczne.
- J.B.: Nie to, że konieczne. Po prostu nie ma relacji z psem, która nie byłaby zabójcza dla właściciela, jeżeli nie jest on w stanie zająć pozycji zarządcy. Ja absolutnie nie byłam w stanie i to był jeden z większych dramatów w naszym rodzinnym życiu.
- B.M.F.: A co to był za pies? Jakaś duża rasa?
- J.B.: Duża rasa, ale łagodna – seter angielski. Bardzo łagodna, wesoła. Właściwie całe życie marzyłam o psie tej rasy tak naprawdę. Naprawdę! Marzyłam o psie rasy seter angielski, potem udało mi się to marzenie spełnić. Wiadomo, że są to psy drogie i trzeba się odpowiednio przygotować do tego, żeby tego psa mieć. Potem jeszcze wydawałam pieniądze na jego terapię behawioralną i z każdą kolejną wizytą u pani terapeutki czułam się coraz mniej zarządcą tego psa.
- B.M.F.: A jak się skończyła ta historia?
- J.B.: Tak się skończyło, że, niestety, ale musieliśmy go oddać. Ale skończyła się dobrze, w pewnym sensie dobrze. Mój mąż przeżył to ciężko, bo on z kolei nie miał problemu z tym, żeby wejść w rolę zarządcy, ale ponieważ to ja byłam cały czas z tym psem, chodziłam z nim na spacer, stwierdziłam, że chcę uciąć tę relację i nie jestem w stanie dalej tego ciągnąć. I potem się zaczęło, ponieważ mój mąż myślał, że ja fantazjuję o tym, jak pies skacze mi na plecy, jak mnie gryzie, jak gryzie mojego syna. Piękny,

rasowy seter angielski. Udało się nam go oddać paniom, które były na emeryturze, miały masę czasu, miały pęd do bycia fit. Z naszym psem miały chodzić na okrągło po parku, po lesie dookoła domu, w którym mieszkały we dwie. Panie zadzwoniły do nas po dwóch dniach i przedstawiły moją wersję, że pies skacze na plecy, że gryzie je w kark, że próbuje je zgwałcić. To wszystko.

B.M.F.: Chciał je zdominować.

J.B.: Chciał zdominować, natomiast skończył bardzo dobrze. Kiedy odebraliśmy go stamtąd, postanowiliśmy, że zrobimy jeszcze jedną próbę, a jak nie wyjdzie – będziemy się z nim męczyć, aż zdechnie. Okazało się, że gdzieś pod Krakowem jest duży dom z łąką, z polem, gdzie nasz Dżim będzie miał dla siebie cały parter domu. To jest siedemdziesiąt metrów. Ja z dziećmi mam sześćdziesiąt metrów. Mój pies Dżim ma obecnie dla siebie cały parter domu z ogrodem.

B.M.F.: To wyszedł na tym świetnie.

J.B.: Wyszedł na tym genialnie!

B.M.F.: Interesują mnie zwierzęce imiona. Jest kot Paweł, Tina – kotka rodziców, jest pies Dżim.

J.B.: Pies Dżim był prawdziwy i, niestety, imiona kotów są prawdziwe. Tinę zrobili z kota moi domownicy, bo to było w dzieciństwie. Ja jej dałam na imię, oczywiście, tak bardzo po staropolsku. Troszkę z Musierowicz. Nazywała się Celestyna.

B.M.F.: Celestyna z *Szóstej klepki*.

J.B.: Oczywiście nie mówili do naszej kotki Tiny Celestyna. Ja też przestałam mówić do niej Celestyna i została Tina, a Paweł – tak, miałam Pawła, bardzo, bardzo długo. Przed Pawłem miałam Leszka, Leszek też był bardzo, bardzo, bardzo długo. Obecnie mam Andrzeja. Andrzej jest po prostu spełnieniem moich marzeń o kocie.

B.M.F.: Czyli jesteś w takim szpagacie między psem i kotem?

J.B.: Nie, ja już nie jestem w szpagacie. Ten pies to był mój jedyny wyskok z psem i rzeczywiście skończyło się to tragicznie. Wiem, że nie mogę mieć psów.

B.M.F.: Ale twoje bohaterki mają psy: jest wyprowadzany westie, jest jakiś pies myśliwski, którego już nie ma. To był wyżeł, ten pies myśliwski?

J.B.: Ale przecież ja patrzę, jak wychodzę wynieść śmieci, i tam stoją na pobliskiej łące ci państwo, ci psiarze z tymi swoimi psami, i te psy patrzą.

B.M.F.: To jest cudowna obserwacja.

J.B.: Absolutnie cudowna. Ostatnio dostałam propozycję napisania dla Teatru Dramatycznego takiej sztuki o psach.

B.M.F.: No proszę.



J.B.: Ponieważ przedstawiłam swoją wizję tego, jak strasznie się czuję, kiedy oni wychodzą z tymi swoimi psami, a ja czuję się tak naprawdę jak przybysz z obcej planety, ponieważ to jest już takie podwójne wykluczenie ze wspólnoty. Bo oni mnie wykluczają jako człowieka i wykluczają mnie też jako psa. Tam można się dostać na dwa sposoby i na żaden z tych dwóch sposobów nigdy nie będę w stanie się do tej wspólnoty dostać, i to jest za każdym razem dla mnie przykre przeżycie. No i powiedziano mi, że to jest taki fajny temat.

B.M.F.: A z kotem wspólnota?

J.B.: Ale jakąż wspólnotę można mieć z kotem? Z kotem to jest tak, że siedzę w domu, piszę, piszę, piszę, Andrzeja nie ma, nawet nie wiem, czy jest w domu, czy nie poszedł do sąsiadów, bo czasem się nie zamknie drzwi na klatkę. Na szczęście dalej już nie wyjdzie, bo nie ma jak, ale czasem idzie pod drzwi sąsiadów, bo tam jest kotka z kolei, i siedzi. Normalnie nic nie robi, nie miauczy, nie płacze, siedzi sobie pod tymi drzwiami. Tak jak mówię, siedzę w domu, piszę, piszę, piszę, po ośmiu godzinach wstaję, mówię „Andrzej” i Andrzej albo przyjdzie i po prostu obrzuci mnie tutaj tymi swoimi śliniastymi pocałunkami, albo wręcz przeciwnie: przyjdzie i ugryzie mnie w łokieć. To jest kot.

B.M.F.: Na pstrym koniu łaska pańska jeździ.

J.B.: Tak, i to jest dla mnie ważne, to jest jakiś rodzaj hartowania się, zanim wyjdę do ludzi, którzy bardzo często zachowują się podobnie, ale udają, że nie. Przetrenuję sobie na kocie.

B.M.F.: U Ciebie nie ma ostrej granicy między ludzkim i zwierzęcym. Jest płynne przejście. Opowieść o Ledzie jest trochę o tym.

J.B.: Tu granica przebiega na talerzu (*śmiech*).

B.M.F.: To zależy, kto kogo zjada. Ale nas też zjedzą w finale. Robaki u Ciebie też są.

J.B.: Mnie nie zjedzą.

B.M.F.: Daj się zjeść.

J.B.: Ja się nie dam zjeść. Mam taką nadzieję, że zanim ja w tym swoim dziewięćdziesiątym trzecim roku życia umrę, to wtedy już w ogóle nie będzie kultury grzebania trupa. Najbardziej to bym chciała, żeby nas jednak zamieniano w kamienie szlachetne. W jakieś diamenty.

B.M.F.: Jest taka możliwość, czytałam artykuł o przerabianiu ludzkich prochów na biżuterię.

J.B.: Tylko że teraz to jest fanaberia i to jest drogie. A gdybyśmy poszli w tym kierunku, czy to nie byłaby wspaniała alternatywa dla tych wszystkich cmentarzy, które gdy przychodzi byle powódź – wypływają? Błagam.

B.M.F.: W sumie chyba tylko my mamy problem z tym, co zrobić z ciałem. Zwierzęta nie mają problemu ze śmiercią. Gombrowicz



pisał, że gdyby zastanowić się nad śmiercią zwierząt, to powinniśmy się potykać o szkieleciki ptaków. Co się dzieje z tym, co zdechło? Przychodzą padlinożercy i robią porządek?

J.B.: Ja Ci powiem, co się dzieje z tym, co zdechło. Przeżyłam absolutne olśnienie tutaj po lewej, tam. Pokazałabym Ci to, ale ponieważ tego nie będzie widać w tekście, to wolę Ci opowiedzieć. Tam jest Muzeum Organów: w pierwszej gablocie po lewej, w pierwszej (!) jest nietoperz nocek znaleziony w organach, oczywiście – trup, jest szkielet wróbla znalezionego w organach. Przepiękne są! I jest cały jerzyk, jeszcze z upierzeniem, znaleziony w organach. To jest pytanie o to, co się dzieje ze zwierzętami po śmierci.

B.M.F.: Wystawiają je w muzeum?

J.B.: Wystawiają je w muzeum. Inna rzecz, że rzeczywiście są muzea, w których wystawiane są zwierzęta. To jest dla mnie duży problem. Mamy takie muzeum w Warszawie – Ewolucji PAN. Tak jakby PAN mógł ewoluować (*śmiech*). To jest akurat chyba dość trudne dla tej instytucji.

B.M.F.: Tam są same szkielety?

J.B.: Wcale nie. Tam są same wypchane zwierzęta.

B.M.F.: Ojej, to jeszcze gorzej.

J.B.: Nie, bo one są niesamowicie śmieszne (*śmiech*). One są tak śmieszne, bo to wypychanie zwierząt...

B.M.F.: To jest sztuka.

J.B.: Wydaje się, że to jest sztuka, która już dawno uległa zapomnieniu i nie jest wykonywana w sposób, który mógłby nie śmieszyć. Problem polega na tym, że jak ja tam chodzę z dziećmi, to nawet moje dzieci się śmieją.

B.M.F.: Oczy plastikowe?

J.B.: Coś jest nie tak. Zwierzętom po śmierci w procesie wypychania nadawany jest wyraz, jakiego one nigdy by nie miały normalnie w życiu.

B.M.F.: Są uśmiechnięte.

J.B.: Na przykład uśmiechnięte właśnie albo z jakąś taką nienaturalną ludzką emocją na pysku. To trzeba zobaczyć.

B.M.F.: One chyba bardziej przypominają pluszaki niż zwierzęta. To chyba w tę stronę idzie. A może to taki ruch jak makijaż pośmiertny.

J.B.: Umówmy się, że makijaż pośmiertny jest bardzo często po prostu konieczny.

B.M.F.: Też, ale jeśli on jest aż groteskowy, takie zrobione wieczne *keep smiling*?

J.B.: To rzeczywiście jest tego rodzaju podejście do zwierząt, no i wtedy należałoby sądzić, że ten wypychacz ma jakieś poczucie winy i chęć naprawienia tego, co im robi. Ale nie sądzę. Myślę, że to jest raczej nieudolność. Nie?

B.M.F.: Może to wynika też z tego, że profesja wypychacza jest reliktowa, że fachowcy wymierają. Kiedyś modnie było posiadać wypchaną wiewiórkę czy bażanta.

J.B.: Ale te wszystkie zwierzęta z polowań przecież lądują nad tymi kominkami.

B.M.F.: Jako trofea.

J.B.: Ale to wtedy nie wypchane całe zwierzę, tylko kości, poroże.

B.M.F.: I to też ktoś musi zrobić. Jeszcze są te skóry w formie dywanika pod nogi...

J.B.: Jakie to jest obrzydliwe!

B.M.F.: Miałaś takie doświadczenie chodzenia bosą stopą po szczecinie dzika? Mój wujek miał takie dywaniki. To potworne, pamiętam to z dzieciństwa.

J.B.: To jest absolutny koszmar, to nie ma nic wspólnego z wizualnym wrażeniem luksusu, jaki ma dawać z jakiejś tam odległości. W moim wieku to nawet z bliskiej odległości daje wrażenie luksusu, ale to, czego się potem organoleptycznie doświadcza, to jest zgroza.

B.M.F.: Znalazłam w Twoich wierszach taki fragment, który wydaje mi się ważny: „W niebie, w królestwie / będziemy spać ze zwierzętami, w ich zagłębieniach” (*Dookoła świata, raz*). Jest taka fraza z Ciorana, powtarza ją Stasiuk w *Jadąc do Babadag*, w której wyżej ceni się kucanie przy ciepłych zwierzętach, przy krowach niż te wszystkie wynalazki, cywilizacje. Czy u Ciebie jest podobna intuicja wyrażona, czy ja mieszam wszystko?

J.B.: Jestem bardzo za mieszaniem wszystkiego, ponieważ sama nic innego nie robię. To z tą krową jest dobre, ale jeszcze ważniejsze jest chyba to, że jak mówię o zagłębieniach, to w jakiś sposób odwracam perspektywę. To znaczy: to zwierzę jest dużo, dużo większe od nas.

B.M.F.: Schować się w środku.

J.B.: Tak, zagłębienie to jest jednak fałd skóry, to jest coś niedużego w całości tego zwierzęcia, to jest jakiś tam element. I teraz, kiedy człowiek ma szansę schować się w takim zagłębieniu, być trochę jak pchła, to wydaje mi się pewnego rodzaju rajem.

B.M.F.: Wyjść z natury, przepracować kulturę i schować się z powrotem. I to jak szybko!

J.B.: Szybko to zrobiliśmy (*śmiech*). Kultura ma to do siebie, że nie trzeba jej jakoś bardzo przepracowywać. Wystarczy wyjść z niej cało (*śmiech*).

B.M.F.: Ale zauważ, że straszy się ludzi świńską grypą, ptasią zarazą, zmieniającym się klimatem, który nas zmiecie za pomocą trąb powietrznych, powodzi. Natura sobie z nami poradzi.

J.B.: Wiesz, co jest naprawdę straszne? To, że chcą zniszczyć ostatnie ampułki z wirusami czarnej ospy. To jest dla mnie horror i to

jest coś, co mnie straszy. Nie straszy mnie ptasia grypa. Jeżeli mam umrzeć na ptasią grypę, to umrę, musiałabym mieć szczęście. Natomiast świadome działanie człowieka, który zakłada, że nie będzie w stanie moralnie się powstrzymać przed pewnymi działaniami, i w związku z tym woli zniszczyć jedyne na świecie ampułki z wirusem czarnej ospy, biorąc pod uwagę, że może się wydarzyć coś, że stracimy też szczepionkę na czarną ospę, i on to wkalkulowuje w swoje działanie tylko dlatego, że jest moralnie niewydolny. Dla mnie to jest horror. Mam nadzieję, że nie zniszczą tych ampułek, ale kto ich tam wie.

B.M.F.: A czym jest motywowana ta decyzja?

J.B.: Boją się, że ktoś może mieć dostęp do tego. I pojawia się temat węglika (kolejne zwierzę). Czy myśmy naprawdę na tym węgliku ucierpieli? Czy ucierpiał nasz prestiż? Prawda jest taka, że nie możemy w takich sytuacjach poddawać się naszym etycznym słabościom. Nie możemy myśleć, że a nuż przyjdzie mi do głowy wykorzystać to przeciwko Chińczykom, bo oni stanowią naszą ekonomiczną konkurencję. Są naturalnym celem, prędzej czy później się nim staną. Nie możemy tak myśleć, bo w ten sposób zamknijemy sobie drogę na przykład do robienia szczepionek.

B.M.F.: Chciałam jeszcze zapytać o tytuł *Małych lisów*, o którym wiem, że jest z *Pieśni nad Pieśniami*, choć, jeśli myślę o sensualności kultury semickiej, jej związku z ziemią, materialnym konkretem, przestaję go czytać alegorycznie. Czy *Małe lisy* to nazwa pewnej formy, gatunku, jak *Piesek przydrożny* Miłosza? Małe, drapieżne, igrające, płomienne? Co Ty na to? Co my wiemy o lisach? Są figurą popędu płciowego, sprytu w bajce alegorycznej.

J.B.: Jest taki znakomity film Wesa Andersona, tego, który teraz ten *Hotel Budapeszt* wydał. To jest zresztą przykład cudownego reżysera, którego twórczość jest całkowicie towarzyska. To jest taka towarzyskość w sztuce, jedyna towarzyskość w sztuce, która mi w ogóle nie przeszkadza. Im bardziej te filmy są towarzyskie, tym chętniej je oglądam. Jest taka kreskówka Wesa Andersona *Fantastyczny pan lis*.

B.M.F.: Czytałam książkę. To jest ekranizacja książki Dahla.

J.B.: Ten film Andersona to jest przykład chyba na to, że lis może być dużo bardziej pojemną metaforą i lepszym punktem odniesienia dla współczesnego człowieka. Bo ten lis jest w psychologicznym sensie takim współczesnym człowiekiem, który ponosi porażkę za porażką i kwituje te porażki w taki nowoczesny sposób. To znaczy: on po prostu przystępuje do kolejnej aktywności, nie rozczuła się nad rodziną, snuje następne plany.

B.M.F.: Pamiętam, że to się kończy jakąś wielką ucztą w podziemiach nory lisa. Wszystkie zapasy trzech strasznych panów zwierzęta wciągają pod ziemię i się tymi zapasami raczą. A co najlepsze, lis

traci ogon, atrybut najważniejszy. Symboliczne polowanie na lisa  
otwierające sezon łowiecki, związane z dniem św. Huberta - to  
polowanie na kitę, czyli płomień.

J.B.: Ta plazma, z której zrobione są gwiazdy. Oj, doszliśmy.

B.M.F.: Jesteśmy.